

Co wolno w Anglii, a w Polsce nie wolno

15 sierpnia 2015

Polska to kraj, w którym nie wolno bardzo wielu rzeczy, które wolno w Wielkiej Brytanii. Nie wolno pomylić się w skarbowce, nie wolno pić pod chmurką, nie wolno ożenić się z facetem i wyjść za mąż za kobietę i – last but not least – nie wolno kierować się zasadą „żyj i daj żyć innym”. Zdaniem polskiego państwa jest to bowiem pewna metoda, by zrobić sobie krzywdę.

Rzeczpospolita to państwo, w którym istnieje wiele nawyków. Wśród tych nawyków jest i taki, że nie obowiązuje w nim zasada „żyj i daj żyć innym”. Innym jest to, że podstawowym zadaniem przeróżnych służb jest troska o obywatela. Ta zwykle przejawia się w nakładaniu przeróżnych danin oraz mandatów, które mają takiego obywatela wychować i skłonić, by lepiej dbał o siebie. Dlatego nie wolno na przykład pić pod chmurką (1).

Park. Trawka. Kocyk. Piknik. Znajomi. Piwko? Normalne? Może w londyńskim parku, gdzie – o ile trzymacie poziom i kulturę (patrz: zasada żyj i daj żyć innym) – napijecie się bez kłopotu, bo w Anglii do sprawy podchodzi się dokładnie na odwrót niż w kraju nad Wisłą. Oto generalnie na ulicy pić wolno, co widać na chodniku pod każdym sensownym pubem, a dopiero jak okazuje się, że miejsce jest dla kogoś wyjątkowo uciążliwe, to wprowadza się w nim zakaz. Parki generalnie uciążliwe nie są, więc i pikniki są pierwsza klasa. W Polsce jest zupełnie inaczej. Generalnie pić nie wolno, a gdzieś tam wolno – jak właściciel pubu zapłaci za ogródek. Co ciekawe gorsze od samego picia (mandat: 100 złotych) – to przykład z mojego rodzinnego Krakowa – jest „usiłowanie spożywania alkoholu w miejscu publicznym”, za które trzeba zapłacić od 20 do 500 złotych. Do tego, tak przynajmniej utrzymuje bloger Marek Tatała, który z sukcesami eksperymentował ze stołeczną policją oraz spora część

ekspertów, tak naprawdę to pić pod chmurką w Polsce wolno (z wyjątkiem parku, ulicy i placu), tylko nikt o tym nie wie, więc wszyscy mandaty podpisują i płacą.

Płacą je też wtedy, gdy przejdą przez ulicę tam, gdzie nie ma pasów (2), chociaż nic nie jedzie. Chociaż nie zawsze. Zwykle wtedy, kiedy idzie koniec miesiąca i policji brakuje trochę do targetu.

* * *

Ale żeby nie było. Czasami dobre praktyki się w Polsce przyjmują. Od sześciu lat (sic!) wolno już na przykład zrobić w parku piknik (3).

Wcześniej ta wielce szkodliwa i antyspołeczna działalność była zagrożona karą grzywny do... 1000 złotych! Skąd zmiana? Stąd – jak opowiadał mi pewien znany i mądry socjolog miasta, który na co dzień obserwuje dobre trendy, przywożone nad Wisłę przez emigrantów – ludzie lecieli do świata wciąż bardziej cywilizowanego, widzieli, jak wspaniale wykorzystuje się miejskie zieleńce i chcieli tego samego u siebie. A tu: mandat. Wreszcie w 2009 roku – po ciężkiej batalii – zorientowano się, że absurd to absurd i prawo zmieniono. Choć zapomniano o tym, że piknik bez piwa, to tak jakby pół pikniku. Albo może raczej pozostawiono źródło dochodu dla gminnych straży porządkowych, które są znane przede wszystkim z tego, że staruszki gonią z takim zdecydowaniem, z jakim uciekają przez bandytami.

* * *

Prawdziwa parada tego, co wolno na Wyspach, a nie wolno w Polsce, ukazuje się jednak dopiero w sprawach obyczajowych.

W Wielkiej Brytanii wolno ożenić się z facetem i wyjść za mąż za kobietę (4), bo... „żyj i daj życie innym”. – Popieram małżeństwa gejów nie pomimo to, że jestem konserwatystą, ale właśnie dlatego, że nim jestem – mówił David Cameron do swojej

partii, a to co mówił ma bardzo wiele sensu. W końcu z konserwatywnej perspektywy lepiej, gdy pary żyją w trwałych i stabilnych związkach, niż na kocią łapę, a w to, że prawo powstrzyma kogokolwiek od tego ostatniego, w Europie XXI wieku nikt chyba już nie wierzy. No może nie nikt, bo mniej więcej w tym samym czasie, w którym swoje poparcie dla jednopłciowych związków ogłaszał Cameron, w polskim Sejmie ówczesny minister sprawiedliwości Jarosław Gowin deklарował – z czym zgodzi się wielu rodaków – że legalizacja związków partnerskich to atak na rodzinę. I dotąd jej nie ma. Nie zanoszą się też, by miało w najbliższym czasie dojść do tego, by nad Wisłą homoseksualiści mogli w spokoju pielęgnować wartości rodzinne. Chyba, że stanie się to „drogą irlandzką” – a więc na drodze referendum – bo tutaj badania pokazują, że opinia publiczna rozkłada się 50/50, ale trend „za” jest zwykły, ponieważ wśród młodzieży poparcie jest zdecydowanie najwyższe.

Zresztą na ślubach się nie kończy, bo w Anglii pary jednopłciowe mogą też adoptować dzieci (5). Z czego skorzystał choćby Elton John. I jak można przypuszczać – adoptowane przez niego dzieciaki też, bo trudno sobie wyobrazić lepszy start w życie.

A skoro już jesteśmy przy sprawach obyczajowych i dzieciach w Anglii, to warto podkreślić, że od dawna można w tu legalnie leczyć niepłodność i in vitro (6) nie jest tu żadną kwestią.

A jego refundacja jest oczywistością. Kobiety do 40 roku życia mogą liczyć na trzy finansowane przez NHS cykle – a ograniczenie jest związane z kwestiami finansowymi, a nie ideologicznymi – po tym, jak przez dwa lata nie udaje im się zająć w ciąży. Panie między 40 i 42 rokiem życia mogą liczyć na jeden finansowany cykl. O czym tu zresztą gadać, skoro Wielka Brytania stała się pierwszym miejscem na świecie, które zaaprobowało pionierską i wciąż nieco eksperymentalną metodę stosowania w in vitro DNA pochodzącego od trzech osób. Dzięki temu można wyeliminować wady genetyczne i ryzyko niektórych chorób o takim podłożu, i umożliwić posiadanie dzieci ludziom,

którzy w innym wypadku nie mogliby ich mieć. W tym samym czasie w Polsce przez długie lata rzecz mogła odbywać się jedynie poza prawem, bo byliśmy ostatnim krajem w cywilizowanej części Europy, w którym regulacji całej sprawy brakowało. Nie że była niezadowolająca – np. zabronili. Nie było jej, bo wszyscy bali się jej jak ognia.

Dlatego kliniki zajmujące się leczeniem niepłodności przez lata działały na „wicie-rozumicie”. Trzeba było dopiero przegranych wyborów, by zorientować się, że w tym wypadku mniej więcej 70 proc. wyborców opowiada się za zasadą „żyj i daj żyć innym”. Nie opowiada się za nią za to spora część polityków, którzy zapewne zaraz zaczną kombinować z refundacją – tak by niby była, a jej nie było.

Będą więc tacy, których będzie na to stać i tacy, których stać nie będzie.

* * *

Czyli trochę jak z aborcją, której – połowa to potępi, a połowa przykłaśnie.

Na Wyspach można dokonać (7) na żądanie.

W Polsce niby nie można, ale tak naprawdę można, kiedy się tylko bardzo chce i ma trochę pieniędzy na bilet do Londynu lub potrafi sprawę załatwić w Niemczech, Czechach lub na Słowacji. Z jednej bowiem strony Polska i Brytania prezentują zupełnie przeciwstawne i skrajnie różne podejście do sprawy. Z drugiej – to że czegoś nie wolno, nie znaczy, że nie istnieje, a Polacy to naród zaradny. W Wielkiej Brytanii wolno wszystko i na żądanie, co przynosi 185 tys. zabiegów przerwania ciąży rocznie. W Polsce nie wolno właściwie nic, a już na pewno nie na żądanie i efektem jest ok. 800 zabiegów legalnego usunięcia ciąży rocznie. Ale jednocześnie kwitnie turystyka aborcyjna i zagraniczne kliniki, które specjalizują się w klientkach z Polski. Na przykład, by rzecz załatwić w Bańskiej Bystrzycy trzeba dojechać do Bielska i mieć ze sobą 399 euro. W

Niemczech jest niewiele drożej, a – pisał o tym „Newsweek” – są kliniki, które deklarują, że „obsługują” nawet 1000 kobiet z Polski rocznie. Generalnie statystyki są różne, niepewne i zależy, kto je sporządza, ale mówi się nawet o 150 tys. zabiegów każdego roku. Czy to dane przesadzone? Nie wiem, bo cała rzecz, patrz wyżej, rozgrywa się zgodnie z zasadą, że w Polsce tego robić nie wolno, ale jak się bardzo chce i ma trochę pieniędzy, to tak naprawdę można.

Tylko nikt nie chce tego przyznać, bo to oznaczałoby, że tzw. „kompromis aborcyjny”, z którego polscy konserwatyści są tak dumni, jest tak naprawdę zupełnie do niczego i sprawę trzeba uregulować w nowy, bardziej życiowy i odpowiadający rzeczywistości sposób. A to byłaby wielka awantura i to taka, która wciąż Polaków dzieli na dwie bardzo równe i zacietrizewione połowy.

* * *

Nie dzieli ich za to stosunek do codziennej praktyki urzędowej, która z hasłem „daj życie innym” ma doprawdy niewiele wspólnego.

W Polsce nie wolno wszak mylić się w pismach urzędowych (8). A już zwłaszcza w tych skierowanych do skarbówki. O takie pomyłki nie jest trudno, bo same przepisy o VAT liczą... – uwaga, uwaga – 40 tys. stron i z roku na rok jest ich więcej. A drobna pomyłka może być całkiem kosztowna. Przy czym zupełnie najciekawsze jest to, że papier kroczy przed człowiekiem. Lub raczej litera prawa przed jego duchem. Mandat można więc dostać za to, że klient nie wziął paragonu, choć towar wbito na kasę. Albo za to, że wprowadzie podatek zapłaciło się w terminie, ale za to o dwa dni spóźniło się, z wysłaniem druku, bo jak wiadomo w podatkach, chodzi o papier, a nie pieniądze. A jest to też mandat pisany językiem, w którym słowa polskie giną między paragrafami zrozumiałymi tylko dla autora, albo i to nie, jak twierdzą sami urzędnicy. I niby z roku na rok jest lepiej, co da się odczuć

przynajmniej w niektórych skarbowkach, ale do Wielkiej Brytanii, gdzie jest dokładnie na odwrót, bo duch prawa wyprzedza literę i pomylić się wolno, bo wtedy pomogą, ale oszukiwać nie wolno, gdyż wtedy zamkną, jest jeszcze daleka droga.

* * *

A w tych wszystkich rzeczach, które w Wielkiej Brytanii wolno, a w Polsce nie za bardzo, jest też coś czego zawsze bardzo zazdrościłem swoim angielskim kolegom i koleżankom. Prawo do bycia nieodpowiedzialnym 20-latkim (9).

Raz, że szkołę, a zwłaszcza studia kończą mając o kilka lat mniej, więc i czasu na zaczęcie „serious life with serious job” jest więcej. Ale też mają prawo poszukać sobie nieco dłużej i 30-latek rozglądający się za pierwszą „poważną” robotą, bo wcześniej to co zarabiał, wydawał na to, żeby zobaczyć kawałek świata, nie jest niczym dziwnym.

Spróbujcie w Polsce mieć 30 lat i wytłumaczyć się z braku oczekiwanego doświadczenia. Powodzenia.

A mają też prawo zapalić marihuanę (10). Nie bojąc się przy tym, że trafią za kraty i mogą się spodziewać, że już wkrótce zostanie to całkowicie zdekryminalizowane. Inaczej niż w Polsce, gdzie są przypadki, gdy do więzienia wysyłano młodziutkich posiadaczy... szklanych lufek, z których wyskrobano odrobinę narkotyku, który jest mniej groźny niż paracetamol.

* * *

Na sam koniec warto dodać, że są i takie rzeczy, które u nas wolno, a w Anglii są raczej ryzykowne. Kiedy w Wielkiej Brytanii w 2009 roku wybuchł skandal dotyczący nadużyć przy rozliczaniu wydatków przez parlamentarzystów, to zwolniło się niemało stanowisk, kilku polityków pożegnało z Izbą Gmin i Izbą Lordów, a – to najważniejsze – doszło też do kilku wyroków skazujących z zasądzoną i odbytą odsiadką. Sądy nie

dostrzegły bowiem wielkiej różnicy między politykami wyciągającymi ręce po nieprzysługujące im publiczne środki, a tymi którzy wyłudniają nienależne „benefity”. W Polsce – nie pierwszy raz – jest dokładnie na odwrót i politycy mogą nadużywać środków z publicznej kasy. W najgorszym wypadku i zależnie od partii grozi im albo usunięcie z jej szeregów albo nagroda w postaci... przesunięcia do Brukseli. Wraz z podwyżką. Przesadzam? To policzcie polityków, którzy w Polsce trafili za kratki z powodu nadużyć związanych z pełnioną funkcją? Szybko poszło? Pewnie dlatego, że to sami święci i nikt nigdy nic nie wziął.

Autorstwo: Tomasz Borejza

Źródło: eLondyn.co.uk